

Marian Pietkiewicz ur. 2 XI 1934 r. w Małym Zbójску pow. Lida /lub Nowogródek/. Rodzice: Franciszek i Wanda z d. Dziadul.

Historia rodziny Pietkiewiczów przekazana przez Janinę Poleszuk moja ciotkę ze strony ojca w 1986 r. : dziadek Janiny Poleszuk Mikołaj albo Adam Pietkiewicz pochodził z Warszawy. Przywiózł go do Wsielubia hrabia Orug /orurg/. Hrabia miał swoje wojsko i był generałem, a dziadek był jego adiutantem. Wojsko się skończyło i generał dał do wyboru: albo praca u niego albo ziemia. Dziadek wybrał ziemię i generał przywiózł dziadka do Zbójска, gdzie dziadek spotkał się z panną Stodolnik i następnie się z nią ożenił. Dostał 2 włóki ziemi. Mieli oni dwóch synów i córki. Jeden z tych synów - Tadeusz - był ojcem Janiny Poleszuk. Tadeusz ożenił się z Józefą Łapińską /to jest moja babka/, która miała 6 sióstr. Była drugą z kolei siostrą. Pradziadek dostał od generała te 2 włóki plus las - około 32 ha razem. Babcia Łapicka dostała posag w Brodach. Ojciec babci miał ponad 30 ha. Tadeusz i Józefa Łapińska mieli 4 żyjących dzieci: Helenę /Sorgowicka/, Józef, Franciszek i Janina. Ta Janina Poleszuk podktowała tę historię. Franciszek to mój ojciec. Helena Sargowicka mieszka teraz w Warszawie - żyje jeszcze. Józef ożenił się ze Stanisławą Dziadul z Chrapienie-wa; Franciszek - ożenił się z Wandą Dziadul z Dietomli. Helena wyszła za Sargowickiego - mieli 12 dzieci, z tego 8 żyje: Janina, Alfons, Ziuta, Jadzia, Czesław, Edek, Lusja /wywieziona była do Jakucji/. Józef Pietkiewicz ze Stanisławą miał 5 córek: Terenia, Wanda /z Lidy/, Józia, Janka, Marysia.

Janina Poleszuk z d. Pietkiewicz, wyszła za Władysława Poleszuka w 1932 r.

Moja matka nazywała się Wanda Dziadul, ur. w 1908 r. Jej matka, moja babcia była z domu Halicka. Mój dziadek Norbert Dziadul dostał ziemię za zasługi w legionach, był lekarzem czy felczerem. Dostał ziemię w Glinicy koło Dietomli. Glinica to była osada lub chutor. Babcia Józefa z d. Halicka była córką Joanny z d. Mackiewicz. Babcia wyszła za mąż za Norberta Dziadula - legionistę. W Gnilicy już uprzed-

Marian Pietkiewicz c.d.

nie mieszkał ^{dz}prawiadek /ojciec Norberta Dziadula/, pochodził spod Wilna - karczował ziemię pod gospodarstwo w Gnolicy.

Przed wojną nasz dobytek wyglądał tak: mam przed sobą dokument wystawiony przez PUR w Szcz^ecinie 12 czerwca 1946 r. /po naszym przyjeździe z Syberii/. Na podstawie zeznań świadków ustalono, że moja matka - Wanda Pietkiewicz, zamieszkała poprzednio we wsi Zbójsk, gmina Wsielub, pow. nowogródzki /obecnie w Zagórzcu/ pozostawiła gospodarstwo rolne o pow. 12 ha, dom mieszkalny z zabudowaniami gospodarczymi oraz inwentarzem żywym i martwym.

Mój ojciec miał dwoje rodzeństwa: brata Józefa i siostrę Janinę. Ja zacząłem chodzić do szkoły w 1940 r. - do I klasy. Szkołka była w Zbójsku, dzieci było może z 10. Nauka była po polsku - to była polska szkoła. Moja matka była dwujęzyczna - rozmawiała w zależności od potrzeb - po polsku albo po białorusku. Ja zostałem wywieziony na Syberię w wieku 7 lat. Miałem młodszą siostrę - urodzona w 1936 r.; mieszka obecnie w Gryficach

Wysiedlenie: to było w maju 1941 r. Również w maju - ale 1946 r. wróciliśmy z Syberii - byliśmy tam 5 lat. Pamiętam, jak aresztowali wcześniej mojego ojca - w styczniu 1940 /czy 1941 r./. Od tamtego czasu po ojcu nie było żadnego śladu. Prawdopodobnie ojciec był w więzieniu w Baranowiczach i został tam rozstrzelany. Ojca aresztowali chyba w 1941 r., bo wtedy na wiosnę nie mogliśmy już uprawiać pola, bo nie było komu zorać; to była ~~xxxxx~~ tragedia. NKWDziści przyjeżdżali na koniach, w Małym Zbójsku bez przerwy byli też żołnierze - stale 7 żołnierzy, a NKWD pojawiało się z doskoku. Żołnierze kwaterowali w domu Poleszuków. Mąż mojej ciotki - Janiny Poleszuk był policjantem przed wojną. Opuścili swój dom jak się zaczęła wojna - i w tym domu zamieszkali żołnierze. Poleszuk był represjonowany /ale bez rodziny/, bo z armią Andersa wyszedł do Anglii.

Marian Pietkiewicz c.d.

Po nas przyszedli w środku nocy. Kazali nam się zbierać. Nie pamiętam, co można było zabrać, ale wiem, co matka zabrała. Zabraliśmy kufer - kufra nie mieli, ale dał go nam Franciszek Pietkiewicz - w zamian za szafę. Do tego kufra matka wpakowała nawet sporo rzeczy. Dali na zebranie się ze 2-3 godziny, tak że mogliśmy się porozumieć z tymi drugimi Pietkiewiczami. Matka wzięła p.w. różne prześcieradła, które potem na Syberii sprzedawaliśmy za chleb. Wzięła pierścionki i obrączki złote. Wiem, że obrączkę ojca wymieniła na kartofle. Wzięła dużo lnianych rzeczy.

Oni przyszedli w nocy i nie mówili, dokąd nas wiozą. Mówili nic nie brać, że wszystko dostaniemy. Przeszukiwali nasze mieszkanie, zabrali wszystkie nasze ~~rzeczy~~ ^{zdjęcia}. Muszę powiedzieć, że mój ojciec i tych 4 braci Dziadulów po przyjeździe Rosjan byli już wciągnięci do AK, bo już wówczas powstawało AK jako opór przeciwko akcji inwazyjnej. Dlatego został aresztowany ojciec i tamtych 4-ch braci czyli szwagrów ojca. Wszystkich rozrzucili po całym świecie. Z tych 4-ch braci najstarszy był Albert, potem Stanisław, potem Feliks i Wacek. Wacek skończył przed wojną średnią szkołę handlową i on jako wykształcony był głównym organizatorem tej komórki. On przed wojną nie zdążył jeszcze pracować, akurat skończył szkołę. Po 17 września działał w tej siatce. On musiał uciekać, potem go złapali i dali do Donbasu. Z Donbasu on z jednym Polakiem uciekł do Polski. Norbert /?/ był aresztowany i wywieziony gdzieś czy do Workuty czy do Archangielska - nie dowiedzieliśmy się tego do dnia dzisiejszego - ~~nie~~ wrócił, ale z tak zrujnowanym zdrowiem, że wkrótce zmarł /wrócił w latach 60-ch/. Stach z kolei brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli niemieckiej i całą wojnę był na robotach. Trzeci z kolei brat, Feliks, zginął kompletnie bez wieści - wywieziony gdzieś na północ. Ci trzej bracia byli represjonowani w latach 1939-1941.

Marian Pietkiewicz c.d.

Uciec z Donbasu nie było łatwo, bo trzeba było unikać wszystkich miejscowości, Ukraińcy kapowali każdego Polaka. Obchodzili wszystkie wsie, spali w stogach, czasami udało im się podczepić do wagonu. Ten drugi miał twarz typowego polskiego inteligenta.

Moją rodzinę po zabraniu z domu zawieźli do stacji Gawja. Na stacji było pełno rodzin, zebrał się cały pociąg. To był bardzo piękny dzień. Jechaliśmy przed siebie. Staliśmy dosyć długo na różnych stacjach. Kiedy jechaliśmy przez Moskwę, to cała Moskwa już była zaciemiona - w celach obronnych. Jak opowiadano później, to następne transporty były już nawet bombardowane przez Niemców. Nam się udało wyjechać jeszcze przed bombardowaniem. A tamci jechali już w czerwcu.

Transporty, którymi my jechaliśmy, to były przeważnie transporty matek z dziećmi. Pamiętam z naszego wagonu, że był jeden dziadek, który miał mapę, może było jeszcze paru mężczyzn, ale nikogo nie było w sile wieku - tzn. mężczyzn. Jechaliśmy przez Tomsk - Czelabińsk - do Krasnojarska. Z Krasnojarska przyjechaliśmy do Abakanu - to było docelowe miejsce, do którego dojechaliśmy koleją. Potem załadowano nas do samochodów ciężarowych i zawieziono do lesozawodu nad rzeką Jenisiej. Tak się nazywało to miasteczko - "Lesozawod" - dzisiaj się ta miejscowość nazywa Czernogorsk. A wtedy tam był rzeczywiście tartak: z góry z tajgi spławiano drzewo i tam nad rzeką Jenisiej przerabiano to drzewo. Moja matka pracowała w tym tartaku - dostawała 300 rubli miesięcznie. Za 300 rubli można było ^{kupić} kilogram chleba na czarnym rynku. Dostawaliśmy z przydziału 300 gram chleba. Matka pracowała, a ja handlowałem. Żeby utrzymać się przy życiu, trzeba było sprężyć się porządnie. Żadnego tłuszczu, żadnej innej rzeczy tam nie uświadczysz poza tymi 300 gramami chleba. Te miasteczka najbliższe - Abakan i Minusińsk - to była kotlina w górach Sajanach. Przez tę kotlinę przepływał Jenisiej. Ta kotlina była rolnicza, dobrze uprawiana. Tam rodziło proso, kapusta, pomidory. Było bardzo dużo słońca latem, klimat kontynentalny, a sze-

Marian Pietkiewicz c.d.

rokość geograficzna równa mniej więcej Warszawie. Byliśmy zakwaterowani w barakach i tak do końca mieszkaliśmy w tych barakach. Baraki były w środku miasteczka. Miasteczko było nieduże, była cukrownia, pracowali tam więźniowie - przeważnie młodzi chłopcy - szli środkiem ulicy z orkiestrą. Na terenie miasteczka więzienia nie było. Naszych baraków było około 10. Baraki były parterowe, w baraku było po 12 pomieszczeń, w każdym pomieszczeniu po 2 rodziny. Ale nie było w nich tak bardzo nabite. Baraki były drewniane. W naszym pomieszczeniu mieszkało 6 osób: nas troje /matka i my/ i Kiewrowa - też z 2 dziećmi. Była jeszcze p. Łajewska z małym dzieckiem /Olga Łajewska/ - to był komplet na nasze dwa pokoje. W 1989 r. spotkałem się z kolegą z tego Lesozawodu i odtworzyliśmy trochę nazwisk z tego zesłania.

W latach 1940-1946 byli tam: Żemetro: matka, 2 córki i syn Józef /syn i córka Stasia umarli, została najmłodsza Lodzia - obecnie mieszka w Stargardzie/; Lipnicka :matka z synem Stachem i Marianem /Stach obecnie przebywa w Anglii, Marian mieszka w Szczecinie/; Kościuk: ojciec, matka i syn /poszedł do armii Andersa/, syn Józek mieszka teraz na Śląsku; Komorowscy: matka, córka Gienia, synowie Marian, Józek i najstarszy Janek/ten Janek żyje w Sremie lub w Srodzie k. Põznania; reszta nie żyje/; Miksza: matka, 18-letni syn poszedł do Andersa, córka, syn Marian, matka umarła, dzieci zabrane do rosyjskiej ochronki; Wołczek:matka, 4 córki, syn Władek - teraz jest w Turoszowie, jedna córka to Marysia; Wojtasińscy - matka, synowie Kuba i Gienek /synowie poszli do Berlinga i zginęli/; Subacz: matka i syn Heniek - syn poszedł do Andersa; Wilk - matka i synowie: Miś i Włk /przezwis-ka/; Stopa - matka i 2 synów; Jaworscy - mąż, żona, syn Felek i córka /syna przezywali Frołem; mąż został zabity przy pilnowaniu pola/.

W tym Lesozawodzie on był strażnikiem, na polach trzeba było stać z karabinem. Zamordowano go. Byłem na jego pogrzebie. Była zima. Trzeba było wykuć w ziemi dół. Põgrzebać człowieka w zimie nie było pros-

Marian Pietkiewicz c.d.

to. Grób nigdy nie był głębszy niż 1 metr.

Łajewska Ola z córeczką /córeczka zmarła w Lesozawodzie, nie było jej czym wyżywić/; Gajdamowicz? Gajdonowicz Janina była naszą nauczycielką. Mieliśmy w tym Lesozawodzie własną szkołkę - to była razem 1 i 2 klasa. P.Gajdamowicz była chyba z matką. Agrypina - to jest przezwisko, druga nauczycielka, żona generała. Głodny: matka, córka i syn /syn poszedł do Berlinga/; Kiewra - matka i syn; Słonina - matka, córka Anielka i syn Józek; Antoniak Regina - matka i syn /syn zmarł w Lesozawodzie/; Kleszczyk - matka, ojciec, syn Edward, córka Władka /mieszkają w Wiślice koło Międzyzdrojów/; Staniszewscy - matka, synowie Janek i Romek Wróbel - matka i syn Bolesław; /właśnie ten Bolesław robił ze mną tę listę - mieszka w Gryficach/; Olszewscy - mąż i żona, Olszewski - żołdziej darów amerykańskich dla Polaków. To był wykształcony człowiek, jedyny wykształcony z niewielu naszych mężczyzn. Umiał rozmawiać z władzami rosyjskimi. Był funkcyjny w ZPP. Zaczęły przychodzić rzeczy z UNRRy. Olbrzymia część tych rzeczy była blokowana przez niego. On nie wracał z nami, on zamówił sobie trzy wagony oddzielnie i do tych wagonów załadował to wszystko, co było przeznaczone dla zesłańców. Ludzie szukali go w Polsce, ale gdzieś znikł jak kamień w wodę. To było dla nas bardzo przykre - jak można było tak się zachowywać, był przecież Polakiem, człowiekiem wykształconym i równocześnie łotrem spod ciemnej gwiazdy. Kiedy inni umierali, on trzy wagony żywności i różnych rzeczy /butów, ciuchów/ wywiózł do Polski. On mieszkał z nami w Lesozawodzie, ale kiedy już mieliśmy wracać do Polski, to on się przeprowadził do Abakanu. Jak się przeprowadzał, to był tragikomiczny obrazek: worki mąki i innych rzeczy ludzie zaczęli mu rozdrapywać z samochodu - a on się ładuje i wywozi. Wywiózł tego od groma. Gdyby wśród nas był ktoś silniejszy - mężczyźni lub silna młodzież, to nie pozwoliliby tego wywieźć, bo to było bezprawie.

Marian Pietkiewicz c.d.

Matkę chcieli wywieźć do pracy do tajgi. Dzięki temu fałszerstwu ~~o~~ nie pojechała do tajgi i była razem z nami. Gdyby matka pojechała do tajgi, to my poszlibyśmy do dietsadu - do domu dziecka.

II taśma

Dzieci bez rodziców trafiały do domu dziecka w miasteczku M₁nusińsk - to było po drugiej stronie Jenisieja. Tam zabierano te dzieci. Bywały takie przypadki: jeśli ktoś nie poszedł do pracy i nie był chory /tzn. nie miał 40⁰ gorączki/, to były takie zastrzeżenia wojenne, że człowiek szedł pod sąd i dostawał 20 lat. /Za uchylanie się od pracy/. Były przypadki osądzenia i zabrania matek. Wtedy z dziećmi trzeba było coś zrobić - zabierano je do domu dziecka.

Baraki, w których mieszkaliśmy, były przeznaczone dla zesłańców. Mieszkali w nich także i Rosjanie. My mieszkaliśmy przez pewien czas z leningradką - jako dzieci podkradaliśmy jej machorkę. My Polacy byliśmy niby wolni, ale nie mogliśmy swobodnie podróżować. Na podróż trzeba było uzyskać pozwolenie. Moja matka zamierzała przeprowadzić się do Abakanu, bo był taki kryzys, że nie można było wyżyć /to był chyba 1944 r./. A w Abakanie był elewator zbożowy i tam pracowało mnóstwo Polaków - i tam się kradło zboże i dzięki temu się żyło /wszywało się woreczki do ubrania i wynosiło/. Za każdym razem była kontrola, a mimo to ludzie ryzykowali - kradli, to była stawka o życie. Dlatego matka chciała się tam przeprowadzić, ale to nie doszło do skutku, tzn. że była jakaś administracja, która zarządzała tymi sprawami. Poza barakami ten tartak posiadał domki jednorodzinne, gdzie mieszkali rdzenni Rosjanie - zamieszkali tam od lat. Oni byli zagospodarowani, mieli ogródki, niektórzy mieli krowy, sprzedawali mleko /zimą mrożone mleko na patykach/. W miasteczku były więc takie przelotne ptaki, jak my czy leningradczycy - i ci mieszkali w barakach.

Marian Pietkiewicz c.d.

Leningradczycy byli ewakuowani jeszcze przed blokadą. Byli też w Lesozawodzie Kałmucy. Nie pamiętam, w którym to było roku - kiedy ich przywieźli /nazywaliśmy ich po rosyjsku Kałmykami/. Oni byli z południa i przywieziono ich zimą /wywieziono za niesubordynację w stosunku do Stalina/. Były 40-stopniowe mrozy. My chłopacy mieliśmy takie walorki-katanki, byliśmy wszędzie opatuleni, można było więc wytrzymać. A ci Kałmucy zamarzali. Sam wielokrotnie widziałem rano trupy zamarzniete. Przywieziono ich całą grupę - jeden barak nazywaliśmy nawet kałmyckim. I cała ta grupa wymarzła, wyginęli wszyscy, nie pozostał chyba ani jeden przy życiu. I to było przykrę.

Rosjanie bardzo nalegali, żebyśmy szli do rosyjskiej szkoły podstawowej. Ale to naleganie nie było chyba takie skuteczne, skoro nie poszliśmy do tej szkoły i uczyliśmy się osobno. W baraku był przydzielony taki pokój, w którym była pierwsza i druga klasa i te nauczycielki jakiś tam program realizowały. Nie było papieru, ale były takie deseczki /w tartaku tego było pełno/ i było szkło: więc pisało się na tych deseczkach i wyskrobywało potem szkłem. Pisaliśmy chemicznym ołówkiem. Ołówki te były bardzo ciężkie do zdobycia, bo z ołówków tych robiono też barwnik do farbowania snódnic czy innych ubrań. Ja przed rozpoczęciem nauki już umiałem trochę czytać i pisać. A nauczycielka uczyła nas czytać i pisać. Mieliśmy nawet specjalną książkę /moja siostra ma ją do dnia dzisiejszego/. Były tam takie wierszyki, pamiętam je do dnia dzisiejszego. Były też opowiadania, np. Królewskie szaty. Te dwie nauczycielki uczyły nawet całkiem fachowo - może były nauczycielkami przed wojną.

Zimą w okolicach chodziły watahy wilków. Miasteczko leżało w kotlinie, ale niedaleko były góry. Do kołchozu Mochow trzeba było przechodzić przez góry - było to groźne. Kiedyś wataha wilków zaatakowała nauczycielkę-Rosjankę - rozszarpały konia, nauczycielkę i wóznice. Zdarzały się mordy - na tle rabunkowym.

Marian Pietkiewicz c.d.

Obraz Rosji i Rosjan: matka moja pracowała razem z leningradką, razem też mieszkaliśmy. Była to kobieta tak samo zabiedzona jak my. Stosunki były poprawne. Pod koniec wojny mieszkaliśmy z taką jedną Plechanową: dwoje dzieci, mąż na wojnie, niewiadomo, czy wrócił. Kiedy myśmy odjeżdżali, to ona biadoliła, że sama zostaje. Plechanowa, kiedy przynosiła zupę z tartaku, to nas zawsze częstowała. Stosunki międzyludzkie /z Rosjanami/ były poprawne. Bieda wszystkich zrównała - każdy miał 300 gramów chleba /za wyjątkiem partyjnych, bo np. kierownik piekarni zawsze sobie bochen chleba brał/. Partyjni to była oddzielna kasta. Moja matka kiedyś jednej takiej partyjnej dała coś na wymianę. Ona wzięła te towary- początkowo dała kilka bochenków chleba, ale potem nie wywiązała się z umowy i towaru nie zwróciła. Myśmy nie mieli czego jeść... Było łotrów takich też sporo. Ale byli też i porządni Rosjanie.

Polacy byli raczej solidarni. W walce o byt trzeba było raczej się jednoczyć. Wspólnie ludzie chodzili na tzw. wykopki: kołchozy straszliwie marnotrawiły. Jesienią chodziło się na kłosa, ale pola były pilnowane i strzelali do ludzi. Wiosną chodziło się na pola kartoflane - jesienią na niektórych były pozostawione kartofle, ~~jesienią~~ wiosną zbierało się te zgniłe kartofle. Zbieraliśmy te kartofle, bo to było cenne jedzenie. Chodziliśmy na te kartofle wspólnie. Do Abakanu też chodziliśmy wspólnie. W Abakanie była rzeźnia, z której na zewnątrz wylewano wodę z krwią. Chodziliśmy więc i wyrąbywali tę wodę z krwią. Z tego robiło się zupę. Pamiętam jedno takie B^Uże Narodzenie, kiedy mieliśmy taką właśnie zupę z tej wody z krwią.

Święta - choinek oczywiście nie było. Ale ludzie wiedzieli, że są święta, matki starały się przynajmniej o jajko. Pobożność - nie byłoby czysu takimi sprawami się zajmować, ten temat w ogóle nie istniał. Kościoła nie było - prawosławnego też. Każdy walczył o byt. Byliśmy

bardziej praktyczni. Walka o byt, to jest walka o byt. Sporo ludzi umierało koło nas. Nie należało też drażnić jakąś pobożnością Rosjan. Byliśmy przecież od nich w dużej mierze zależni. Modlono się na groźbach.

Matce udało się zwolnić z tartaku i przenieść do podsobnego choziajstwa, gdzie były artykuły rolne. To była piwnica wielka z różnymi artykułami rolnymi. Matka tam przebierała np. kartofle, żeby się nie psuły. Było tam też i proso, były piękne ryby. Takich jesiotrów nigdy potem nie widziałem - takie czerwone mięso. Przynosiła to do domu i dzięki temu mogliśmy tam wyżyć: sama się najadła w pracy a dla dzieci mogła przynieść - ukraść, bo też kontrolowali. Raz ją nawet złapali i wyrzucili stamtąd. Wtedy zostaliśmy bez środków do życia. Chcieli jej nawet sprawę zrobić, ale jakoś uprosiła. Wyrzucili ją tylko z pracy, ale do tartaku nie poszła, bo do tartaku to brali wszystkich przymusowo, kobiety chowały się, gdzie tylko mogły. Nikt nie chciał, bo zarobek wynosił 300 rubli - tyle co kilogram chleba na czarnym rynku. Więc 10 razy opłacało się nic nie robić, a lepiej coś ukraść. Po zwolnieniu jej z tego choziajstwa zaczęliśmy piec na sprzedaż te lepioszki. I na tych lepioszkach dotrwaliśmy prawie do wyjazdu do Polski. Nie był to wielki interes, ale można było samemu się wyżywić i jakoś jeszcze zarobić. Nie chodziliśmy po żebrach - nigdy! Nikt z Polaków nie chodził po żebrach, była ta godność. Przecież mieszkaliśmy z tymi Rosjanami - jedliśmy to samo, co i oni: ten rzadki kapuśniak "Szczci" i 300 gram chleba. Ten chleb to był robiony z różnego surowca - m.in. z prosa; to były takie czarne zakalce. Ale zawsze smakowały. Kiedy chleba nie było, to się głodowało. Obok głodu najdokuczliwszym był brak soli. Tam był rejon bez soli. Sól sprzedawano na szklanki i sól to był wielki majątek. Bo np. zupa z lebiody jest niedobra, trzeba ją było choć trochę posolić.

Przeżyliśmy też dzięki temu, że matka coś zabrała z domu. Ten kuferek miał bardzo dobre zamknięcie - na klucz. Więc każde jedzenie,

Marian Pietkiewicz c.d.

które się zdobyło, było chowane do tego kufra, np. wiadro kartofli. To był pokój przechodni, to ludzie kradli, z głodu kradli, nawet Polakowi. A jak było zamknięte na klucz, to już było pewne. Kufra nie dało się rozbić, bo on był okuty blachami. Kiedy matka szła do kołchozu na handel./pieniądz był bez wartości, był tylko handel wymienny/ czasem nie było jej przez 2 tygodnie i my musieliśmy sobie radzić jako dzieci. I radziliśmy. Dzieci były całkiem inne niż dzisiaj. Byłem tam w wieku od 8 do 13 lat. Już w tym wieku musiałem rozwiązywać poważne problemy. Zimą, kiedy był nawet 40-stopniowy mróz brało się sanki i szło się do tego lesozawodu i kradło drzewo. A tam była taka wieża, z której pilnowali drzewa, szczuli psami. To jest kraj, państwo, naród, który opiera całą swoją działalność na kradzieży. Tam nie można nic legalnie zdobyć. Skąd mam wziąć drzewo na opał, jeśli nie ukradnę. Drzewa tam nie rosły. One zostały spławione z tajgi i przerobione. I te obrzynki leżały w tartaku. Oficjalnego przydziału drzewa nie było, każdy musiał je ukraść. Od czasu do czasu ci strażacy kogoś łapali. Łapali i mnie kiedyś, postraszyli psem. Miałem stracha, posiedziałem u nich kilka godzin, wróciłem bez drzewa: w pokoju zimno! Trzeba było drugi raz jechać. To jest państwo bardzo dziwne, np. w Jenisieju było bardzo dużo ryb, ale nie zauważyłem, żeby kto się zajął połowem. Umierali z głodu, ale ryb nie łowili. Na Jenisieju była wysepka, z jednej strony taka wioseczka Tarakanicha, z drugiej taka protoka - odnoga. Ta wysepka była bardzo ładnie nawodniona i tam wszystko bardzo ładnie by rosło. Polacy zaczęli sadzić tam kartofle, to nie pozwolono: "Nielzia, nielzia". Umierają z głodu, a ziemi nie pozwolą ludziom zagospodarować. Dlatego było ciężko, bo nic nie można było uczciwie zapracować.

Zdrowotnie: Prawie cała Syberia i nasz rejon - Krasnojarski kraj to wieczna zmarzlina - ziemia rozmarza tylko na pewną głębokość i tylko na wiosnę i lato. Topniejące śniegi wytwarzają dużo wody, ale ta woda

Marian Pietkiewicz może wsiknąć w ziemię tylko do tej wiecznej zmrz-^aliny. Wiosną jest więc duże nawilgocenie. Dlatego rozwija się plaga komarów. Tam było więc nasilenie komarów i pluskie^N%. Nigdy więcej nie spotkałem takiego zjawiska. Komary były malaryczne. Wszyscy więc chorowaliśmy na malarię /ja chyba malarii nie przeszedłem, ale moja matka chorowała na malarię^o. Matka miewała ataki malarii - rzucało ją na podłogę i trzęsło, potem przechodziło na jakiś czas i znowu powracało. Ja i siostra nie przechodziliśmy malarii, widocznie mieliśmy silniejsze organizmy, młodsze. Ale matka miała częste ataki.

strona 2.

Dużo ludzi chorowało na kurzę ślepotę - nie widziało się o zmierz-
chu. Matka wyleczyła się z tego przy pomocy szczypioru - jadła go ca-
łymi garściami. Najdokuczliwsza była malaria. Ale np. nie było gruź-
licy. Opieki lekarskiej w zasadzie nie było. Była taka przychodnia,
w której był jeden termometr - mierzono temperaturę, żeby dać komuś
zwolnienie, jak człowiek nie mógł iść do pracy. Potrzebna była bar-
dzo chinina. Ale chininy nie było, to był problem nie do rozwiąza-
nia.

Pobyt na Syberii odbił się na mnie prawdopodobnie tak, że nie
uroszłem: mój ojciec był wysokiego wzrostu, moja siostra też jest
wysoka, ja natomiast tak jak bym nie dorósł - mam 170 cm. To chyba
rezultat niedoboru żywności, braku witamin. O witaminach tam czło-
wiek w ogóle nie słyszał.

Moja matka zmarła w wieku 74 lat - przyczyną zgonu było stward-
nienie rozsiane.

I_nteresuje mnie, czy strona radziecka udostępnia jakoś dokumenty,
bo chciałbym wiedzieć, co się stało z moim ojcem w tych Baranowiczach.

Repatriacja. U nas bardzo głośno było o Wandzie Wasilewskiej, po-
kazywano ją jako patriotkę i prawie że wyrocznię. W Krasnojarsku był
urząd do spraw repatriacji. Ale repatriacja miała objąć obywateli

Marian Pietkiewicz c.d.

polских - Polaków i Żydów, natomiast nie obejmowała Białorusinów i Ukraińców. Z nami mieszkały dwie Żydówki - to one też chyba przyjechały. Krążyliśmy po wielu barakach: uciekało się przed wszami, poza tym zrobiło się luźniej, bo część ludzi umarła, część poszła do armii Berlinga.

Czekaliśmy na repatriację. W pewnym momencie zaczęły być wydawane dokumenty repatriacyjne. Sporo ludzi się nie repatriowało, bo nie byli w stanie udowodnić, że byli Polakami. Mało kto posiadał jakiegokolwiek dokumenty, a trzeba było udowodnić, że się jest Polakiem. My o mało nie zostaliśmy, bo moja matka nie miała dokumentów, że jest Polką. Uratowało nas to, że matka miała na imię Wanda. Matka powiedziała, że Białorusini nigdy nie nadają dzieciom imienia Wanda i to jest czysto polskie imię. Uznano tę rację i dzięki temu dostaliśmy ten dokument repatriacyjny: w dokumencie tym matka też dodała sobie parę lat, a nas odmłodziła o 3 lata. Dokument jest z marca 1946 roku. Matka odchodziła od zmysłów, bo już byliśmy w transporcie, a jeszcze nie mieliśmy tej karty ewakuacyjnej, a kto nie miał karty, to go wysadzali z transportu. Zajechaliśmy do Krasnojarska i dopiero wtedy dostaliśmy tę kartę. A ludzie, którzy nie dostali tej karty, zostali cofnięci. Wiem, że jedna młoda dziewczyna zakochała się w Rosjaninie i została tam. Matka rozpaczała, a ta dziewczyna zaparła się i nie pojechała. Wszyscy przeżywali tę sprawę.

Przyjechaliśmy do tych Gryfic bardzo biedni. Na drogę dali nam UNRR-owski prowiant - jeszcze w Lesozawodzie. Było tam słone masło i jeszcze coś. Dali prowiant na całą drogę, jechaliśmy prawie miesiąc. Wielkanoc spotkaliśmy już w Poznaniu. W Gryficach działał PUR /tzn. w Zagórzcu/. Mam od tego czasu wysokie mniemanie o Poznaniakach. Oni bardzo sprawnie to wszystko organizowali, organizowali jako pierwsi na Ziemiach Zachodnich administrację. Na karcie ewakuacyjnej są adnotacje:

Marian Pietkiewicz c.d.

o otrzymaniu jednej spódniczki i sukienki; o otrzymaniu obuwia dziecięcego, kombinezonu chłopięcego, koszuli nocnej, produktów żywnościowych, płaszcza i spodni, dwóch bluzek, 300 zł, pary obuwia damskiego.

W Gryficach była rozwalona cukrownia. Matka początkowo wynajęła się do pracy do pana Rączki - do pracy na polu. Potem dostała się do pracy przy odbudowie cukrowni /cukrownia była rozwalona przez Rosjan - nie w działaniach wojennych/, pracowała bardzo ciężko. Ja z siostrą poszedłem do 3 klasy do szkoły. A mój kolega jeden uparł się, że będzie pasł krowy /choć teraz skończył studia/. Skończyłem szkołę podstawową, można było robić dwie klasy w ciągu roku. W 1953 r. ukończyłem gimnazjum, poszedłem na politechnikę - jestem inżynierem budownictwa wodnego. A siostra skończyła technikum ekonomiczne 3-letnie i pracuje cały czas w urzędach jako ekonimista. Teraz przechodzi na emeryturę.

Bardzo chciałem pojechać z wizytą do Zbójska. Napisałem masę listów. Mój dziadek miał 4 synów - jeden z nich najstarszy - Albert ożenił się z Białorusinką. Tego małżeństwa nikt specjalnie nie akceptował, ale trzeba było je ~~akceptu~~ tolerować. Z tego małżeństwa urodził się syn Tomek - mój brat cioteczny. On mieszka tam do dzisiaj. Moja siostra i matka były tam w latach 50-ch. Ale ja nie mogłem nigdy pojechać: ilekroć napisałem jakiś list, zawsze było milczenie. Rodzina dalsza stamtąd wyemigrowała.

Na Syberii mieliśmy dwa podręczniki do języka polskiego: 1. Czytanki polskie, a 2ś nie wiem, przez kogo wydany - ale on był o Katyniu. Celem tego podręcznika było udowodnienie winy niemieckiej. Książeczka miała chyba ze 100 stron. Czytaliśmy ją, bo nie było innych tekstów w języku polskim. Było to nudne, bo wiecznie była gadka o jeńcach wojennych.

Marian Pietkiewicz c.d.

Z rosyjskich przyspiewek pamiętam taką, na melodię Międzynarodów-
ki: Wstawaj, pojedem po sołomu,

Byki gołodnyje stojat

Nie kipit nasz sup niedowarionnyj,

Drowa syryje nie goriat.

Eto jest' nasz poslednij i rieszitielnyj sup ...

drugi: Szła korowa u kołchoz...

jeszcze inna: Abakan my nie sdadim, Podkuniu stolicu

Czeriez Mochow pieriejdiom

Sobirat' pszenicu.

/Podkunia - okoliczna wioska, Mochow - kołchoz/

Ty mamasza nie grusti

Moja dorogaja,

Kak pazenicy nabieriom

Nakormlu, rodnaja.

No i to wszystko.